Nr. 49. Niedziela dnia 3. Grudnia 1876. *Rok X.*

Wychodzi jako dodatek do *Gazety Narodowej*, przesyłany bywa co sobota pocztą.

TYGODNIK NIEDZIELNY

pismo ludowe.

Prenumerata kwartalna 20 cent z przes. pocz. 35 ct. którą dodaje się do prenumeraty na *Gazetę Narodową*. Numer kosztuje 2 centy.

46. letnia rocznica.

Przed 46 laty 1830 roku w zimną noc 29. listopada kilkunastu podchorążych śpieszyło tajemnie przez ulicy Warszawy do pałacu belwederskiego, gdzie mieszkał namiestnik carski, Wielki książe Konstanty. Wpaść do pałacu, wypłoszyć tyrana z kryjówki, zmusić go do ucieczki i wzniecić ogólne powstanie w stolicy, było dziełem paru godzin. Nad ranem 30 listopada już cała Warszawa była wolną od najeźdźców: stojące tam pułki wojska polskiego przyłączyły się do do powstania, a wojsko moskiewskie cofnęło się po za mury miasta. W ciągu trzech dni całe królestwo Kongresowe rozwinęło chorągiew powstania. Wiadomo jak się skończyła ta bohaterska ale smutna walka: walczono przez dziewięć miesięcy z najwyższym zapałem; z największą odwagą, trzy razy w ciągu tych dziewięciu miesięcy mogliśmy zniszczyć całą armię moskiewską, carat chwiał się w swoich posadach, cała Europa przyklaskiwała bohaterstwu polskiemu; w końcu upadliśmy A to dlaczego? Bo nie miano dość wiary we własne siły, a zamiast powołać cały lud do powstania, ten lud zawsze gotowy stanąć w obronie ojczystej ziemi, poczęto się oglądać na pomoc zagraniczną; a wodzowie powstania zamiast walczyć o zupełną niepodległość ziem polskich, walczyli tylko dla odzyskania pewnych szczupłych praw, które Kongresówce odebrał car Mikołaj. Żołnierz walczył do upadłego, ale wodzowie nie chcieli szczerze wyzyskać korzyści wywalczonych przez żołnierzy, bo się bali narazić carowi. Taki obłęd zgubił sprawę i powinien być wieczną nauką na przyszłość, że skoro raz podniesiono broń przeciw wrogowi, to nie należy oglądać się na żadne małe ustępstwa, lecz walczyć tak, aby stanowczo zabezpieczyć swe prawa.

Mimo tych błędów Polska przekonała świat o swojej sile i obudziła we wszystkich szlachetnych monarchach uczucie przyjaźni i współczucia dla siebie. Szukających na obcyźnie schronienia żołnierzy polskich witano tak, jak się wita własnego brata i obrońcę. Wszędzie się prześciągano z tem, aby im okazać gościnność i przytułek. Bo widziano w nich bojowników świętej sprawy, rycerzy wolności nie tylko własnej, ale i innych ludów. Wszak nie napróżno owczesne powstanie wywiesiło sztandar, na którym złotemi było wypisano głoskami: za naszą i za waszą wolność.

Jakże pożądanem i świętem jest to hasło dla wszystkich uciśnonych i w niewoli będących, a jakże strasznem dla wszystkich ciemiężców i gwałcicieli praw narodowych. To też i dziś na jedno wspomienie pięknych dni Grochowa, Stoczka, Ostrołęki, płaczą z radości jedni, a drżą ze strachu drudzy; i dziś jeszcze — mimo iż już minęło 46 lat od owych dni pięknych, mimo, iż bohaterowie onych dawno spią w grobie, tyrani gotując się do spełnienia nowej zbrodni na ludach, z trwogą spoglądają na Polskę, ażali ona nie przerwie ich dzieła zbrodniczego i dla zabezpieczenia siebie, myślą nad sposobem ponownego jej skrępowania. Dla czego? Bo wiedzą, że duch bohaterów belwederskich dziś potężniej jeszcze kołacze w sercach polskich, bo więcej znalazł dla się ofiarników, niż przed 46 laty

Nowiny ze świata.

Jak wiadomo w początkach grudnia miała się zebrać w Konstantynopolu rada przedstawicieli wielkich mocarstw, czyli tak zwana konferencja, na której by zadecydowano ostatecznie — co począć z Turcją: czy nadać mieszkającym w niej Słowianom obszerniejszą swobodę, czy przeprowadzić należy rozbiór samego państwa. Moskwa oddawna już mówi, że dla przypilnowania tego, aby swoboda została tam przeprowadzoną należycie, potrzeba zająć słowiańskie kraje wojskami państw europejskich, a właściwie zająć Bułgarję wojskami moskiewskiemi. Ta potrzeba przypilnowania reform jest tylko pozorem dla Moskwy do zajęcia Bułgarji na rzez swoją. Skoro raz ona tam się usadowi, to już truduo ją będzie z tamtąd wypędzić; owszem może się posunąć dalej jeszcze, aż do samej stolicy tureckiej, do Konstantynopola. Ponieważ to najbardziej zaszkodziłoby interesom Anglii, która nie chce aby taki ważny punkt jak Konstantynopol, będący na drodze do jej indyjskich posiadłości, zostawał w nieprzyjaźnych rękach moskiewskich, więc rząd angielski postanowił wpierw wybadać usposobienie innych mocarstw, co myślą o tym zamiarze moskiewskiem i dopiero potem działać odpowiednio.

W tym celu wysławszy na konferencję jednego ze swoich ministrów, p. Salisbury, nakazał mu, aby wstąpił po drodze do różnych stolic i rozpytał się rządzących tam ministrów — czy pozwolą na zajęcie Bułgarji przez Moskwę, lub też sprzeciwią się temu. P. Salisbury był tedy w Paryżu, Berlinie i Wiedniu, a teraz jest w Rzymie. Głównie mu chodziło o Berlin i Wiedeń, czyli o pana Bismarka i o pana Andrassego. P. Bismark miał mu oświadczyć, że zachowa się obojętnie, czyli nie będzie przeszkadzał Moskalom. Zmiarkował zaraz p. Salisbury, że to jest odwdzięczenie się Prusaków za usługę moskiewską w 1870 r. podczas wojny francuzkiej. Nadto jeszcze dowiedział się pełnomocnik angielski, że Prusy weszły w tajną umowę z Moskwą, że na wypadek jakiejś ruchawki w Polsce, Prusacy wejdą do Warszawy i zajmą ją, a za to Moskale swobodnie gospodarować będą mogli w Bułgarji. W Wiedniu zaś dowiedział się p. Salisbury, że Austrja stosować się będzie do Prus, a w pewnym razie gotowa nawet działać wespół z Moskwą t. j. gdy Moskale zajmą Bułgarję — Austrjacy zajmą Bośnię. Turcy zaś oświadczyli, iż w każdym razie bronić będą krajów swoich przed napaścią moskiewską. Owoż teraz powstało to proste tylko pytanie: czy będzie wojna Moskwy z samą Turcją, lub też Anglia zechce przyłączyć się do tej ostatniej i wywołać wojnę europejską?

Z zaboru pruskiego. Krzyczą wszyscy o sprawie wschodniej i wołają o sprawiedliwość dla Słowian chrześciańskich w Turcji. Nie dość że Moskale zadają kłam temu żądaniu, uciskając u siebie Słowian-Polaków; ale toż samo czynią Prusacy, uciskając również Polaków, żyjących pod berłem króla pruskiego. W tej samej chwili kiedy Prusy popierając żądanie Moskwy, domagają się aby w szkołach i sądach Słowian tureckich używano języka narodowego, posłuchajcie co robią oni u siebie z Polakami. Już od pewnego czasu toczą się w parlamencie niemieckim w Berlinie obrady nad urządzeniem sądownictwa. Gdy przyszedł paragraf, stanowiący, iż *językiem sądowym ma być język niemiecki*, Polacy postanowili upomnieć się o swoje prawa i zażądali, ażeby w ziemiach polskich należących do państwa pruskiego, język polski był w sądach równouprawniony z niemieckim. Żądanie to było postawione w formie poprawki do powyższego paragrafu; potrzeba więc było nad nią odbyć obrady w pełnej Izbie. Poseł polski dr. Chosłowski zabrał tedy głos i począł bronić konieczność tej poprawki.

Wspomniawszy o przyrzeczeniach, któremi zapewniano prawa języka polskiego, mowca w te słowa dalej mówił: „Prócz politycznych i państwowo-prawnych względów, należyt się uwzględnienie ludzkim powodom. Byłoby to zaiste szczególniejszą ilustracją obecnego prądu politycznego, gdyby rząd Niemiec, wypędziwszy język polski ze szkoły, wypędzić go miał i z sądów w chwili, w której tak państwa absolutne jak i wielkie mocarstwa konstytucyjne dokładają starania w celu zabezpieczenia rozmaitym narodowościom w Turcji ich praw narodowych, szczególniej zaś w celu zapewnienia im języka ojczystego w szkołach i sądach. Przypuszczać nie chcemy, iżby Wysoka Izba mniej miała być gotową do rozpatrzenia z surową sprawiedliwością położenia uciśnionej narodowości i do przyniesienia jej ulgi, niż to czyniła monarchia absolutna za swoich czasów. Położenie nasze było podówczas o wiele pomyślniejsze i znośniejsze niż jest dzisiaj. Podówczas szanowano jeszcze układy międzynarodowe, przyrzeczenia królewskie, a słowo „ludzkość“ nie było, jak dzisiaj niestety! czczem brzmieniem. Pod najrozmaitszemi pozorami odebrano nam te nasze prawa, aż wreszcie dzisiaj czynią oto zakus do porwania się i na tę resztkę praw nam pozostawionych.

Wykazy statystyczne dowodzą, że pod rządem pruskim żyją 2 miliony Polaków, którzy albo wcale, albo bardzo słabo mówią po niemiecku. Wszyscy ci ludzie, co więcej, stan nasz wieśniaczy w zupełności, ma przez tę ustawę zamknięte usta i pozbawiony prawa. Pytam was panowie, jakaż pozostanie różnica między rajasami i osmanami, a chłopem polskim i niemieckiem? Takie poniżenie żywego żywiołu narodowego dla ciasnych celów politycznych, jakże je pogodzić z prawdziwą ludzkością? — obraża ono wszelkie uczucie sprawiedliwości. Zdaje się, że wobec nas upodobano sobie politykę, którą się rządził już pewien książe także — książe Metternich. Zamiast poszczególnym narodowościom do Austrji należącym, przyznać i oddać prawa im właściwe, uważał on za lepsze szczuć jednę na drugą i rządzić tą sztuką. Uwieńczyliście sami owo osławione dzieło niemoralności, a stało się to pod Sadową.“

Posłowi Chosłowskiemu odpowiadał poseł toruński, Gerhard, któremu widocznie bardzo się podobała rola, jaką odegrał w Izbie poselskiej Hundt von Haften. Po Gerhardzie mówił komisarz rządowy, dr. Amsberg przeciwko wnioskowi posłów polskich, za tymże wnioskiem gorąco się odezwał poseł Windhorst. Po nim zabrał głos p. Donimirski, odpowiadając krótko Gerhardowi, cokolwiek dłużej komisarzowi rządowemu. Następnie przemawiali przeciwko wnioskowi poseł Unruh, i komisarz rządowy, tajny radca Oelschlaeger, tym panom na nowo odpowiadał poseł Donimirski. W imieniu konserwatystów przemawiał przeciwko wnioskowi polskiemu Puttkamer, któremu z wielkiem ciepłem i ostro bardzo odpowiadał Windhorst. Duskusję zakończyło przemówienie Laskera, gubiącego się w sofistycznych wywodach. Przy głosowaniu wniosek polski odrzucono. Łowstali za nim oprócz naszych posłów: całe centrum, socjaliści, Francuzi, Sonnemann i z partji postępowców dr. Haenel.

Szymon Smolak.

Na kolonii Amelinie w majątku Garbowskim, położonym na szosie Warszawy do Lublina, o mil trzy przed tem miastem, składającej się z trzydziestu osad, wybudowanych na karczunku po lesie, przy granicy Samokleskiego lasu, mieszkał sobie gospodarz pracowity i zaradny, a przytem gorliwy katolik. Nazywał się Szymon Smolak. Osady w Amelinie po 6 mórg nowopolskich, czyli 13 mórg magdeburgskich (pruskich), choć nie wielkie, jednak porządnie budowane, otoczone owocowem drzewem pomiędzy dwoma lasami zupełnie na ustroniu, miłe mogły sprawić wrażenie na przechodniu, który przypadkiem do nich zabłądził.

Szczególniejszą uwagę zwracała na siebie kolonia Szymona Smolaka większym sadem, napełnionym wielką liczbą uli pszczół, które w tem dogodnem dla nich miejscu, bezpiecznie i z korzyścią hodować się mogły; to też przynosiły naszemu Smolakowi dochód dosyć spory, który przy skromnych potrzebach tamtejszego ludu, urósł z czasem w znaczny kapitalik. Lud w Lubelskiem nosi się w brunatnych sukmanach, robionych z samodziału, to jest rodzaj grubego sukna, które sobie każdy sam robi z wełny brunatnej owiec własnych; w spodniach płóciennych i kapeluszach słomianych własnego wyrobu, latem; zimową porą bierze wieśniak pod to kożuch, spodnie kożuszkowe, a w miejsce kapelusza czarną wysoką futrzaną czapkę i skórzane buty. Opasuje się pasem rzemiennym, przy którym przyczepiony na rzemyczku kozik (nożyk). Sukmana wyszyta czerwoną i niebieską wełną. Kobiety używają tej samej lub granatowej sukiennej sukmany i kożuszka zimą, spódników płóciennych, czasami wierzchem perkalikowym lub też wełnianym pokrytych. Chustki, któremi głowy owiązują, kolorowe, czasami białe płócienne, lub perkalikowe, takież koszulki (staniczki); okrywają się prześcieradłem, szalowym sposobem, a na szyi noszą kilka sznurków prawdziwych korali, bursztynów, lub też szklanych pereł. Takie ubranie u siebie zrobione nie wiele kosztuje. Sprzęty w domach skromne, własnej roboty; łóżka bez pościeli, nie wymagają nakładu, a przy skromnym zarobku, kto rządny, musi coś oszczędzić, bo jeszcze mniej wydaje. Jedna wódka, której jeszcze częstokroć zanadto używają, niszczy ich.

Nasz Smolak służył dawniej we dworze, nauczył się tam czytać, jeździł do Warszawy ze sprawunkami dworu, nawet do Drezna po szczepy drzew owocowych, któremi szosa przez Garbowszczyznę prowadząca jest obsadzona, otarł się między ludźmi, a uzbierawszy sobie kilka set złotych, ożenił się i poszedł na swoje, podjąwszy się z drugimi karczunku na Amelinie, gdzie swoję kolonią pobudował. Zaradny, bystry gospodarz, posadził sobie owocowe drzewa i zaprowadził pszczoły, które mu się poszczęściły. W gromadzie miał znaczenie, został sołtysem, a nawet

gdy po powstaniu z 1863go roku, urządzono gminy z wojtami chłopskimi, obrano go radnym. Choć nie wziął udziału w powstaniu, to jednak nie raz ratował chudziaków (tak nazywano tam powstańców), kiedy im wypadło się schronić w bliskości Amelina w lesie, lub szukać tam przytułku i pożywienia.

Kolonia Amelin, lnbo o dobrą milę od Garbowa położona, należała do kościoła Garbowskiego, który postawiony jest na górze, na którą prowadziło wprost więcej jak 60 stopni schodów drewnianych w trzech odstępach, a po za którą, wąwozem krętym się na nią wyjeżdżało po za kościół. Pięknie ten kościół z pomiędzy drzew z swemi dwoma wieżkami wyglądał na okolicę do niego przyłączoną. Postawiony z drzewa, wewnątrz szczególniej był zaniedbany; dziedzic kolator umarł od lat kilkunastu, żona jego również, a opieka o tem mniej dbała, zwłaszcza że zdaleka mieszkali opiekunowie. W bliskości kościoła była dzwonnica przy lewem brzegu góry przed wejściem do niego; ta bardziej jeszcze była opuszczoną; podwaliny zgniły, deski, któremi była okryta, popróchniały, a dach był uszkodzony. Ludek okoliczny zbierał się w Niedzielę i w święta do Garbowa na nabożeństwo, które od ósmej z rana do południa trzema mszami świętemi się zmieniało, było tam bowiem trzech księży, proboszcz i dwóch wikarych, a popołudniu kończyło nieszporami; kościół nie bardzo wielki, zawsze był pełeń, bo przeszło 8.000 dusz liczyła parafia. Z dalszych miejsc zjeżdżali się wózkami jednokonnemi, zaprzężonemi w hołoblach i dułach, zalegając miejsce dolne przed karczmami się rozpościerające; dziwnie snuł się tłum pobożnych pod górą kościelną, lub spływał na dół, przesuwając się ku wózkom lub ku drogom okolicznym, któremi inni przebywali, to powozami, to bryczkami, wózkami lub pieszo.

Smolaka obchodziło bardzo spustoszenie dzwonnicy i lichy stan kościoła Garbowskiego, przybył więc do mnie poprosić imieniem gminy o potrzebne drzewo do reperacji dzwonnicy i wyjawił chęć zajęcia się zebraniem składek potrzebnych na koszta tej reperacji. Pochwaliłem jego dobre zamiary, przyrzekłem drzewo potrzebne, ale wątpiłem o skutku co do składki i przyobiecałem być nazajutrz z rana po mszy świętej u proboszcza, celem ocenienia wspólnie z nim tak potrzebnego materyału, jak i możebnych kosztów. Następnego dnia stawili się na probostwie Smolak, kilku włościan poważniejszych z różnych wsi i cieśla miejscowy, człowiek przemyślny i zgrabny, obejrzeliśmy co potrzeba, obliczyłem i wydałem assygnacyą na drzewo do boru. Nazajutrz już spotkałem chłopków wiozących takowe wąwozem pod górę kościelną, a w kilka dni, gdy było ono zwiezione, żwawo się krzątał cieśla z innemi gospodarzami około obróbki. Smolak tymczasem obchodził okoliczne wioski i dwory, zbierając składki, w czem mu się tak powiodło, że wkrótce zebrał około 1.500 rubli, czego na reparacyę dzwonnicy nie było potrzeba. Postanowił więc zająć się także odnowieniem kościoła. Nie długo trwało, a dzwonnica była skończoną; cieszyli się wszyscy dobrą wolą poczciwego kolonisty, a chłopi byli dumni z tego, że tak prędko bez korowodów wykonali tak szlachetne zamiary. Działo się to no wiosnę roku 1865go.

Wyprowadziwszy się za Lublin, przybyłem po roku do Garbowa, wstąpiłem do proboszcza i kościoła, ale jakże się zdziwiłem, gdym znalazł kościół zupełnie wewnątrz odnowiony, pomalowany perłową olejną farbą i ołtarze odnowione, pozłacane. Zapytałem proboszcza kto to wszystko zrobił!

Odpowiedział westchnąwszy: nasz poczciwy Smolak z Amelina, co zebrał składkę na dzwonnicę, dodał do tego ośmset rubli ze swoich własnych funduszów za życia, a po śmierci przysłał jeszcze 600 rubli przez swoją córkę!

— Jak to, czyż już Smolak nie żyje? zapytałem zdziwiony; przecież nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat, a taki był ruchliwy i zdrowy; cóż mu się stało?

— Otóż zastrzelił się, odrzekł proboszcz, choć nie umyślnie! Miał bowiem starą rusznicę zakopaną w ziemi w skutek powstania: robiły mu wróble szkodę w sadzie, objadając wiśnie, przypomniał sobie ową broń, wykopał ją i rozebrał celem oczyszczenia, gdy jednak nie mógł upo rządkować lufy, z powodu naboju w niej tkwiącego, wsadził ją zapałem w węgle tlejące na kominku, a następnie, chcąc się przekonać, czy nie ma spusobu dobyć powietrza, wziął koniec lufy w usta i zadął w takową. W tem puszcza naboj i przeehodzi mu przez gębę i szyję. Posłano po księdza i lekarza, sam go na śmierć dysponowałem. Nie było ratunku, choć miał przytomność, a na wet tyle, że mi opowiedział całe to zdarzenie. Umarł bardzo przykładnie, a na pogrzeb zebrało się bardzo dużo ludu wiejskiego. W kilka tygodni przychodzi córka Smolaka do mnie i oddaje mi 600 rubli z tem nadmienieniem, że jej się ojciec pokazał po śmierci, że powiedział, gdzie zachowane pieniądze i polecił odnieść tę kwotę proboszczowi, na ukończenie ołtarzy. Dla tego wspomniałem o tem, że ją po śmierci przysłał. Tłómaczyłem jej różnie, że się jej może tylko tak zdawało; ale ona została przy swoim i zostawiła owe przyniesione pieniądze, za które kończę odnowienie ołtarzy.

Różnie mi się trafiało spotykać z ludem i spostrzegać wyniki wytrwałej i chętnej pracy, a dobrą i szczerą wolą widzieć uwieńczoną dobremi skutkami; jednak tak szczególne, jak to tu opowiedziane zdarzenie, nie często się powtarza, dla tego je z tym większym uznaniem, wszystkim ludziom dobrej woli oddaję, jako dowód, że w prostym narodzie naszym nie jedna szlachetna dusza się kryje.

Dobrą wolą i wiarą góry byśmy przenieśli, przez nie ożywieni do jedności sił i błogosławieństwa Bożego dojdziemy, a skutkiem tego, zmartwychwstanie nasze byłoby pewne. *N.*

Roboty pasiecznicze i ogrodnicze

w miesiącu listopadzie i grudniu.

Zima zawitała do nas i wtym roku rychlej jak zwykłej; nie zaskoczyła jednak tego niespodzianie, kto za naszą radą poszedł i zawczasu na jej przybycie się przygotował. Pnie zimujące na dworze należy, jeżeli nie mają dość ciepłych ścian, otulić przed mrozem słomą, oczka jednakże zostawić odkryte, by powietrze miało wolny przystęp do ula. Oczka tych pni, które są zwrócone do słońca, trzeba nakryć ukośnie deszczółką, by promienie słońca zazierając do wnętrza ula, pszczół wśród zimna nie wywabiały.

Zasuwanie oczek, chociażby przedziurawioną blaszką, lub siatką jest niebezpieczne, gdyż łatwo mogłoby się takowe zatkać, czyto nagromadzonemi ciałami zmarłych pszczół, czyteż zamarzłą rosą, a w takim razie silne obsypanie się, lub śmierć całego roju z braku świeżego powietrza niechybna. Po silniejszych wiatrach i zawiejach wypada ule obejrzeć, zrzucone deszczółki na oczka ponastawiać, a zatkane oczka ostrożnie wyczyścić. Doświadczenie i teorya godzi się na to, że pnie mające oczka wyżej (10 lub 12 cali od powały) zimują najlepiej, najgorzej zaś zimują pnie mające oczka zbyt nizko (n. p. na dnie, zwłaszcza u wysokiego ula).

W stebniku winny być pnie tak ustawione, by można w razie potrzeby u każdego (bez ruszaniu pnia z miejsca) zatwór otworzyć. Oczkami nie powinny również pnie do siebie przylegać, aby w razie zaniepokojenia jeden pień nie burzył drugiego, tudzież by świeże powietrze zawsze miało łatwy przystęp. Silne pnie należy w stebniku ustawiać spodem, słabsze zaś górą, gdyż na dole powietrze zawsze jest chłodniejsze, jak w wyższych warstwach. Gdyby silny pień z powodu zbytniego gorąca miał się niepokoić, trzeba zostawić mu zatwór uchylony. Wstawiając pnie do stebnika, trzeba im pierw oczka zasitkować, a dopiero po skończeniu roboty i po uspokojeniu się pszczół otworzyć je na tyle, aby przez zostawiony otwór nie mogła się mysz wcisnąć. Zimować pnie w stebniku z zasitkowanemi oczkami, jest z powyżej przytoczonych powodów bardzo niebezpieczne. Zasitkowywanie oczek tylko w tym wypadku można uniewinnić, jeżeli zimujemy pszczoły w widnym schowku, tu jednakże trzeba od czasu do czasu zajrzeć, czy oczka się nie zatkały. Ponieważ niektórzy zwykli się z wstawianiem pszczół do stebnika wstrzymywać aż do silniejszych mrozów, przeto nadmieniamy, że lepiej jest w takim razie odczekać odwilży, gdyż ruszając pnie wśród silniejszego mrozu, pszczoły się po ulu rozchodzą i wiele z nich po plastrach tężeje.

Ciepło w stebniku należy ostrożną i staranną wentylacyą tak regulować, aby nigdy nie było większe nad 6° C. (5° R.) Zimując w stebniku pnie otwarte (przyczem oczko może być oczywiście zamknięte) nie powinna ciepłota obniżać się pod 4° C. (3° R.), przy ulach zamkniętych nie wywiera szkodliwego wpływu obniżenie się ciepłoty nawet niżej. W każdym razie obniżenie się ciepłoty jest mniej szkodliwe, jak zbytnie podniesienie się nad 6° C. Jeżeli pnie szumią dla zimna, natenczas trzeba postarać się o to, by w stebniku było cieplej, lub też je same otulić; jeżeli zaś szumią dla zbytniego gorąca, trzeba stebnik ochłodzić, a w niektórych wypadkach nawet uchylić zatwory. Gdyby który pień miał się uporczywie zbytnio niepokoić, lepiej go wystawić i osobno gdzie przechować, aby reszty nie zburzył, bo w takim razie przyczyna tego będzie wewnętrzna — zazwyczaj sieroctwo.

Drzewa owocowe czyścić starannie z gąsienic, strupieszałej kory, mchu i porostów. Opadłe liście i inne odpadki z pod drzew owocowych zebrać i spalić, przez co się wiele robactwa niszczy. Gdzie ziemia nie zamarzła, sieje się jeszcze ziarnka na grzędy i przesadza drzewka i krzewy owocowe, w przeciwnym razie zostawić przesadzanie do wiosny, a ziarnka ułożyć teraz lub z końcem grudnia w naczyniu jakiem, przekładając je warstwami wilgotnego piasku i wstawić do piwnicy, lub też zakopać w ziemię. Stare drzewa można przesadzać z kłębami obmarzłej ziemi. Zniszczałe drzewa lub chorowite wyrzucić, doły zaś po nich zostawić otwarte, by potem wiosną nasypawszy świeżej ziemi zasadzić młode. Młode drzewka zabezpiecza się osłoną tarniny od zajęcy, przywiązuje starannie do pali. Krzaki owocowe, jakoteż drzewa szpalerowe i karłowe obrzynają się przy łagodniejszem powietrzu. Zająć się odmładnianiem drzew starych z wyjątkiem wiszni, przyczem rany starannie maścią zalepiać. Kopie się doły na drzewa, które się sadzi dopiero wiosną, przygotowuje ziemię kompostową z różnych odpadków. Zabrane owoce i warzywa przeglądać od czasu do czasu i nadpsute oddalać. Grzędy szparagowe nakrywa się na 2 cale dobrą mierzwą bydlęcą. Pomiędzy krzaczkami truskawek rozpościera się strupieszałą mierzwa. Grzędy z zimową lub hiszpańską sałatą, z szpinakiem, marchwią, kwiatami cebulkowemi i t. p. przyprusza się liściem; tam gdzie w tym roku spadł już rychły silny śnieg, tego czynić nie potrzeba. Kopie się doły na inspekta, wyrzuconą zaś ziemię nakrywa się liściem lub słomą, by nie zamarzła. Wszelkie drzewka i krzewy czułe na zimno powinny już być na zimę zaopatrzone.

O zimowaniu pszczół na toczku.

Pszczoły zimują dobrze, gdy przez całą zimę cicho i spokojnie w gronie siedzą, nie rozchodzą się po ulu i mało miodu zjadają, wskutek czego mało muchy spadnie, a pnie silne z zimy wyjdą. Do dobrego zimowania potrzeba:

I. Dostatkiem świeżego powietrza; II. Odpowiedniego stopnia temperatury; III. Ula zastósowanego do powietrza i stanu temperatury w naszym klimacie; IV. Dobrze urządzonego gniazda na zimę; V. Utrzymania pnia przez czas zimy w spokoju.

I. Powietrze. Bez dobrego świeżego powietrza pszczoła ani oddychać ani żyć nie może; a gdy zdrowe powietrze w ulu zużyje się, a świeże dalej nie przybywa, musi się pszczoła udusić. Mniemanie, jakoby pszczoły pod ziemią zakopane powietrza wcale nie, lub tylko bardzo mało potrzebowały, nie ma stałego oparcia. I w tym wypadku musi się zawarte powietrze w ulach koniecznie i niezbicie odświeżać: pokład ziemi nad zakopanemi ulami wzruszony bez wątpienia posiada dosyć szpar i szczelin, któremi powietrze z wewnątrz wypływa a świeże przypływa. Bezwarunkowo więc pszczoła czy w lecie czy w zimie potrzebuje dobrego, ciągle świeżego powietrza, a potrzebuje go nie mało, aby żyć mogła.

Powietrze atmosferyczne składa się z $^4/_5$ części azotu, z $^1/_5$ części tlenu i odrobiny kwasu węglowego, prócz tego zaś jeszcze pewną ilość wodnej pary, która to ilość pary zawisła jest od temperatury (zob. wykłady z meteorologii.)

Tlen jest niezbędny dla podtrzymania oddechu ludzi i zwierząt, a więc i pszczół. Ludzie i zwierzęta wdychają atmosferyczne powietrze, wciągnięty z powietrzem w płuca tlen, łączy się z węglem zawartym w krwi, i tworzy kwas węglowy, który w towarzystwie z pozostałym azotem z płuc na zewnątrz się wydycha. Kwas węglowy tworzy się także przy paleniu się drzewa, fermentacyi i t p. Przy chemicznem łączeniu się tlenu z węglem wywiązuje się ciepło wewnątrz ciała, które stanowi własne wewnętrzne ciepło ciała. Że atmosfera wyziewami kwasu węglowego przez tyle tysięcy lat nie zanieczyściła się, to zawdzięczamy roślinom, które we dnie kwas węglany pochłaniają, a rozłożywszy go wewnątrz na węgiel i tlen, ten ostatni na zewnątrz wydzielają, czyszcząc w ten sposób powietrze.

Stosownie do mniejszego lub większego stopnia ciepłoty jest powietrze albo cięższe, albo lżejsze. Cięższe, to jest zimniejsze powietrze opada zawsze na dół, ciepłem zaś rozrzedzone, lżejsze, unosi się w górę. Powietrze w ulu ciepłem pszczół ogrzane rzednieje, staje się lżejsze, wznosi się ku powale ula do góry. Od gniazda nieco na dół oddalone powietrze będzie mniej, a jeszcze niżej może wcale nie będzie ogrzane. W ulu tedy pszczołami zamieszkałym, uwarstwia się powietrze tak, że ciepłe układa się górną częścią ula, a chłodne lub zimne kładą się spodem.

(Dok. nast.)

Wydawca, właściciel i redaktor odp. Jan Dobrzański. Z drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla.